[1865 r.]

List Twój tym bardziej utwierdził mnie w mniemaniu, że żaden człowiek nie miał tylu przyczyn prędkiego żenienia się co Ty. –

Twierdzenie to graniczy z nowym zarzutem, jak[i] Ci zrobić zamyślam. Wpadasz zawsze w ostateczności – obawiam się, ażeby Szkoła Główna, Medyczny Wydział, stan Twego serca i te stosunki Twoje, na które się uskarżałeś w ostatnim liście, nie zrobiły Cię sensatem. – Cokolwiek jestem zdziwiony widząc takie nagłe przejście od usposobienia wesołego aż do cynizmu – do takiej rzewności, liryki, powagi. Jakkolwiek wiem z doświadczenia, ża takie wewnętrzne rewelacje często zdarzają się w naszym wieku, to jednak wiem także, że każda z tych przemian ma jakąś przyczynę, z której wypływa. – Będę próbował odgadnąć i na tym po większej części treść swego listu osnuję.

Przyczyn jest dwie: Pierwszą jest owo zrzucenie togi pretexty, to wiem z pewnością i nie wmówisz we mnie, że jest inaczej; drugą, którą także za niezmiernie możliwą uważam, jest gwałtowny zwrot uczuć serca do wspomnień, gwałtowna (pozwól, że wyrażę się po Twojemu) recydywa dawnej miłości. Recydywa, według zdania światłych doktorów, jest najczęściej nieuleczoną – a Twoją tym bardziej za taką uważam, bo zaczęła się nagle. – Wiem, co byś mi odpowiedział, gdybyśmy ustnie rozmawiali; odpowiedziałbyś mi, że recydywa jest niemożebną, gdy przesilenia pierwszego napadu nie było, ale ja Ci odpowiem owym lapidarnym słowem: „bajki”!

Przypominasz mi ogromnie Petrarkę: - On kochał się, jak wiesz zapewne, w niejakiej Laurze, przystojnej blondynce, która gdy poszła za mąż za jakiegoś (przypominam sobie nazwisko) Hugona de Sade, niebo w porozumieniu bezpośrednim z panem Hugonem obdarzyło ją 12-stoma dziećmi. Ale Petrarka, żeby miał do kogo pisać sonety, udawał, że się w niej kocha, i to robił aż do śmierci. Nie chciał sobie wprost powiedzieć: „Jestem niestały, kochałem jedną, a teraz jej nie kocham”. Jak na Petrarkę i człowieka tak znanego, to jakoś nie przystoi. Jednym słowem, przez miłość własną wmawiał sobie tę miłość, której nie doznawał wcale.

Żeś i Ty tak robił, to nie ulega najmniejszej kwestii.

Długie oddalenie w powieściach tylko zaostrza miłość, a w naturze ogromnie ją zmniejsza – a wyście się przez tyle lat nie widzieli! – Przestałeś więc kochać – bo to był wysiłek niepodobny dla jakiegokolwiek bądź serca, a więc i dla Twego. –

Nie zarzucaj mi braku konsekwencji. Teraz już nie przypominasz mi Petrarki – teraz już kochasz po raz drugi i dlatego kochasz silniej.

Dlatego silniej, że pierwsza miłość, tyle wysławiana przez poetów, powieściopisarzy itd., jest, podług mnie, najniestalszym i jak najbardziej płochym uczuciem. – Naturalnie! – młodzieniec, wychodząc z dzieciństwa i dojrzewając niejako, czuje ze względów czysto fizycznych, ze względów natury potrzebę miłości i zadosyć jej czyniąc zakochiwa się w pierwszej lepszej ładnej twarzyczce, jaką mu się zdarzy zobaczyć. Tak powiada Wirej i ja podzielam jego zdanie.

Ja w te wszystkie sympatie, na których się opierasz, nie wierzę – przytaczasz mi przykłady o Bronku, że razem staraliście się zbliżyć do siebie – myślisz więc, żeście uczuli jakąś sympatię, która jest czym innym jak prostym podobaniem się powierzchowności?

Tyś wyróżnił Bronka, bo jest ładny – powiem, że i inni są ładni. Czekaj! Bronek siedział (zdaje mi się) między Kramsztykiem i Rechniowskim, którzy nie odznaczają się wcale dla niego korzystna. Po wtóre: spostrzegłeś, że on jest miły, łatwy w obejściu i grzeczny chłopczyna, więc się zbliżyłeś do niego. On znowu, widząc, że jakoś na niego uważasz, że przemawiasz do niego dobrym słowem, którego by na próżno wyglądał od otaczającego go bydła – że jesteś dobrze wychowany i także przyjemnej powierzchowności, wolał do Ciebie rozmawiać niż do innych – poznaliście się więc i zaprzyjaźnili.

Zresztą zabijają tę Twoją sympatię fakta na niwie rzeczywistości zebrane. – Sympatia z natury swojej powinna być zobopólna – a tymczasem niestety tak wcale nie jest. – Juścić ja czułem w swoim czasie sympatię do Kożuchoni (niech ją katar zdusi), ale ona wcale się nie odwzajemniała - nawet sympatią. Owszem, wolała ją okazywać Olszew. Witting czuje zapewne wielką sympatię do L. G., a ręczę Ci, że ona wolałaby psa widzi[e]ć jak jego. A dlaczego? Dlatego, że jest brzydki – żeby był ładny, to kto wie? – może by przynajmniej znosiła jego widok.

Jeszcze jeden przykład, że sympatii nie ma na świecie.

Wszak my (ja z Tobą) żyjemy z sobą już trzy lata w przykładnej zgodzie (od czasu, jak nas Hant. pogodził) i zdaje się, że będziem tak żyć nadal – a przypomnij sobie, czy jaki zobopólny pociąg zbliżył nas ku sobie, nimeśmy się poznali. Kolegowałem z Tobą przez cały rok w trzeciej klasie i znałem Cię tak, jak się zna wszystkich kolegów – dlatego cóż? – Ty swoją drogą siedziałeś przy Mejerze i bijałeś się ze Szpondrem. Ja swoją – bijałem się z Lewenchofem, Markusfeldami, Brudziczem itd. Kolegowaliśmy w piątej – i dlatego także małośmy ze sobą gadali, dopiero w wakacje poznaliśmy się. – Było tak: Poszedłem do Saskiego Ogrodu, gdzie spotkałem Daniela, który mi pokazał Kołki i powiedział, że się w Tobie kochają.

Ja czułem niepowściągnioną potrzebę zakochania się, więc pomyślałem sobie: szczęśliwy człowiek – i poszedłem dalej; wtem spostrzegam Ciebie i Kosmosa – przybliżam

się i zaczynamy rozmawiać. On (Kosmos) wypowiada mi Twoje przekonania, ja widzę, że niedalekie od moich, więc zwracam na Ciebie uwagę – Ty wkrótce ni w pięć, ni w dziewięć zwierzasz mi się – ja Tobie, i przyjaźń się zaczyna. Sympatii poprzedniej nie było.

Nie wiem więc, z jakiego względu powiadasz, że między Tobą a p. H. było trochę sympatii.

Mogliście się nawet kochać wzajemnie, ale to dlatego, żeście się sobie podobali. – Ona zdawała Ci się ładna – w to biłeś, o to się ze mną w owych mętnych rozprawach: która ładniejsza – spierałeś; zakochałeś się wiec nie przez żadną sympatię, tylko dlatego, że była ładna.

Ja dla tego samego zakochałem się w Kożuchoni. Zdawała mi się ładną – i zaraz wymarzyłem sobie, że musi być równie czystą (pod względem moralnym), jak jest piękną, równie idealną, jak bladą, równie dobrą, jak miłą. No! załapałem się, mówiąc po prostu, dlatego też puściłem ją w trąbę ze wszystkich sił swoich i nie mam się potrzeby obawiać recydywy.

Teraz nawet zimniej spoglądam na wszystkie idealne dziewczynki, bladą cerę zarówno innym, ubocznym względom, jak i idealności przypisuję.

Nie idzie za tym, żebym się nie miał zakochać – owszem, zrobię to, jak będę mógł najprędzej, ale nie zakocham się już drugi raz tak jak pierwszy – i sądzę, że dlatego będę kochał stalej i dłużej.

Moja *prima charitas* taki więc wzięła koniec – Twoja (prawda, przyznaję Ci teraz, że przedmiot był, bądź co bądź mimo plotek, godniejszy miłości) – Twoja więc wróciła się obecnie z całą siłą – teraz już zapewne nie jest prostym zawrotem głowy – należy więc ją pielęgnować i jak najusilniej starać się zadosyć jej uczynić – a tym zadośćuczynieniem – małżeństwo!

Dlatego więc w każdym liście będę Ci go [!] radził i nie przestanę, zacząwszy od dzisiaj, zbijać zarzutów, jakie przeciw małżeństwu czynisz.

Naprzód! co się tyczy Twojej powierzchowności, o której tak niekorzystne masz wyobrażenie, to powiem Ci, że wcale ani nie jesteś brzydki, ani niedowcipny, ani nie niezgrabny.

Słowo Ci daję, nieraz, jak ubrałeś się w czarny tużurek i wyelegantowałeś trochę – zdawałeś mi się, powiem: piękny.

Masz wtedy minę bardzo dystyngowaną – pańską nawet, jesteś tak przystojny, że mało kobiet, gdybyś chciał ich ręki, odmówiłoby Ci jej bez żalu. – Że mało mówisz? – to sądzę, że każda rozsądna kobieta, a zdaje się, za taką masz p. H., woli człowieka mało mówiącego, a który coś umie, niż tych wszystkich blagierów – co wiele gadają, a mało robią. Zresztą takei blagiery jak zwąchają kogoś z olejem, to się go boją.

Powiadasz, żeś niezgrabny. Mój kochany, porównaj się z Antkiem, będziesz miał odpowiedź. – Ubierz go nawet jak najwytworniej, jak pierwszego dandysa, jak magnata, jak najdystyngowniejszego człowieka – i puść między kółko czy to bawiących się, czy siedzących czy cokolwiek innego czyniących panien. – Jeżeli się bawią, to je porozbija i posiniaczy, jeżeli rozmawiają, to pokaże zęby, zakryje gębę pięścią i jeżeli co mruknie – to: „bajki”.

Gdyby Antek kochał się w p. H., to bacząc na jej wychowanie salonowe (w części wielkiej) położyłbym rękę na jego ramieniu i powiedziałbym: Przyjacielu! marna praca! nie dla psa kiełbasa! nie dla takiego osła piękna trawka rosła – ale Tobie tego nie powiem, bo Ty i on zupełnie pod względem towarzyskim co innego. –

Więc co do Twojej powierzchowności – wcale żadnych trudności nie przyznaję – pozostaje więc rozstrzygnąć kwestię majątkową.

Co Ty! Co Ty! dowodzisz! – Policz no, bratku, 4000 od jakiego to kapitału procent? – pomyśl, ile rodzin ma w Warszawie 4000 rocznie. – A toć by, według Twojej zasady, żaden urzędnik niższy nie ożenił się nigdy! Przecież Ty mając 4000 rocznie możesz się śmiało żenić z panną mającą odpowiedni temu procentowi kapitał, bo Ty dochód Twój roczny uważasz bardzo naturalnie jako procent.

Ale Ty powiesz, że p. Helena jest wychowana inaczej, że jest przyzwyczajona do dobrego itp. – Toć przecież przypuszczam, że będzie miała posag wynoszący 1000 albo 2000 rocznego dochodu – to razem będzie 5000 albo 6000. – Mój kochany, za to można się jak najwyborniej utrzymać.

A jeżeli nic nie będzie miała, toć przecież powozami nie jeździła, a za 4000 głodu się nie cierpi – będzie więc mogła żyć razem z Tobą wygodnie i porządnie.

Ile masz rodzin, co na 6, 7, 8 osób mają nie 4, ale 3 tysiące, i dlatego żyją, prawda, oszczędnie, ale wygodnie. –

Zresztą, albo Ty nie możesz przysparzać pracą dochodu? – to znaczy, bo może być zasiłek – a potem: Tyś doktorem! praktyka! ruble! pałace! cugi! i powozy! – Gdzie pan Sł. Znajdzie lepszą i bardziej zabezpieczającą przyszłość dla swej córki partię?

Ja Ci słowo daję, że jak będę miał 3000, żenię się natychmiast – będę patrzył, żeby żona miała na rok 2 albo nawet i 1000, i co za życie, skromne wprawdzie, ale szczęśliwe, będę prowadził, to aż inni koledzy ślinkę łykać będą. I co jeszcze! Ja muszę własną pracą zdobyć owe 3000 dochodu, jeszcze w Szkole Gł[ównej] – z domu nie będę miał ani grosza złamanego – bo niewiele jest! A co jest, to wezmą siostry – ja bym sam nie chciał, bo ja sobie prędzej dam rady. –

Ho! ho! żebym ja miał 4000, już bym Cię dziś na wesele, a kto wie, czy nie chrzciny prosił.

Nie trzeba nigdy tracić nadziei,
Bo bez nadziei jakżeby żyć.

Pojęcie przechodzi, jaki był głupi ten, co powiedział, że nadzieja matka głupich – powiedziałbym mu, że w takim razie ona go zapewne poczęła i porodziła.

Jak się ożenisz, to sobie wynagrodzisz za wszystkie czasy dzieciństwa, a tymczasem nie oddawaj się melancholii, bo wpadniesz w ascetyzm i będziesz kubek w kubek podobny do Hantowera. Po przeczytaniu Twego listu spytałem się sam siebie, czy to czasem nie on do mnie pisze.

Nie myśl, żebym się śmiał z Ciebie. Niech Bóg broni! ubolewam jak najszczerzej nad zbiegiem okoliczności, które się na to zebrały, na co Ty narzekasz – ale na pocieszenie Cię powiem, że jeżeli nie znałeś pieszczot, miałeś przynajmniej dobrze życzących Ci i masz ich pełno do tej pory.

A są tacy, którym i tych ostatnich brak.

Zdziwi Cię to może, że do Łąckiego nie piszę jeszcze po ostatnim Twym liście. A powiem Ci pod sekretem, że nie miałbym co. Dziękowałbym mu chyba niezmiernie grzecznie i ceremonialnie za przysłane mi książki i na tym by się skończył list cały; byłoby wiec w nim grzeczności i czułości wiele, a szczerości i prawdy mało. Podziękuj mu ode mnie za książki i powiedz mu, żem zawsze umiał cenić w nim zacne i poczciwe serce, i którym dziś więcej jak kiedykolwiek przekonany jestem.

Że chciałem od niego pierwej listu, to tylko dlatego, aby mieć więcej materiału do napisania do niego. Na list jakoś zawsze łatwiej odpisać, a tak? – sam powiedz, co ja stąd mogę dowcipnego lub tak bardzo wesołego napisać? Chyba parę tłustych konceptów, które wątpię, żeby go bawiły albo zajmowały.

Podziękuj mu tylko serdecznie ode mnie, bo gdybym ja sam pisał, to bym musiał powiedzieć mu coś takiego, co by na nieszczerość zakrawało. –

Mój Boże! jak to znać na Tobie mieszkańca błogosławionej Warszawy. Piszesz mi jak najobojętniej prawie – mimo że nadeszlesz mi parę fotografii – nie piszesz mi kogo; o! a ja formalnie drżę z niecierpliwości i oczekiwania.

W niedzielę byłem zasadzony do preferansa prawie gwałtem, przy którym pomimo nudów o mało nie udusiłem się wstrzymując śmiech…

Kontent jestem, że nie mam innych listów do pisania, jak tylko do domu i do Ciebie. Sławińskiemu odpiszę kiedy indziej, powiedz mu to ode mnie.

Podziękuj Antkowi za słownik i powiedz mu, że jak przyjadę do Warszawy, to go od niego odkupię.

Odsyłam Ci Arytm. Wrześniowskiego, bo ją mam, za resztę książek ślicznie dziękuję.

Rękawiczek nie kupuj – napiszę o nie do domu – zresztą niekoniecznie mi potrzebne. Na książki te, które chcesz kupić, z góry zgadzam się i żałuję, że Ci nie mogę teraz nadesłać więcej pieniędzy, gdybyś za te nie mógł ich wszystkich dostać.

Poznałem niedawno panny Mścichowskie, teraz jedna jest to nawet w zastępstwie Wey[h]erowej, z czego jakiś podejrzliwy człowiek mógłby złe dla uczuć moich wyprowadzić wnioski.

Czy mi się P. podobały? nie piszę Ci, zapytaj się własnych oczu, to Ci tylko powiem, że… serce moje jest wolne jak ptak, który buja w błękitach.

Ale! ale! co mi się przytrafiło. –

Pokazuję pannie Mścichowskiej i Wey[h]erowej 'Bazar', trzymam więc w ręku jeden numer i pokazuję im drzeworyty – wtem Wey[h]erowa zwraca moją uwagę na jakiś drzeworyt i pyta się: 'A to co jest?' Ja przybliżam świecę i czytam, wystaw sobie: majtki kobiece! Śmiać mi się chce – jakże tu powiedzieć głośno? – a niepodobna nic nie powiedzieć. Zaczynam więc, chcę skręcić, komponować termin do nazwania tego przedmiotu.

Naturalnie trzeba prędko, więc się jąkam: Pa-ta-fa-ra-pa-ta-ra… aż ledwo wymówiłem: patarafka do lampy – i zaraz zacząłem narzekać na trudności tego wyrazu w wymówieniu. – I to szczęście, żem poprzednio rzeczywiście rzucił okiem na jakąś patarafkę, bo inaczej nie wiem, co by było.

Takim sposobem majtki kobiece narobiły mi tyle ambarasu.

Już doprawdy za dużo robisz dla mnie – przysłałeś mi jeden ze swoich krawatów. Nie wymawiaj, że on pod mundur zły, bo tak samo przydał się pod mundur, jak i pod wszystko inne. Wybacz więc, że Ci nie mogę go zabierać. Teraz go nie odsyłam, bo Wey[h]erowa spostrzegłaby go niezawodnie, ale oddam Ci nie używany.

Jeżeli znajdę sobie okazję, to może na Wszystkich Świętych wpadnę do Warszawy na te dwa dni, bo chciałbym sobie nawet kupić palto.

Co do pracy, to nie pofolgowałem sobie wcale i nie myślę folgować, bo mi z tym lepiej.

Bywaj zdrów i pisuj. –

H.S.

Grm. Kurs 3-ci bardzo mi potrzebna-

Planimetrię mam (geometrię).

Gdybyś mi mógł przysłać fotografię swoją i Łąckiego, wolałbym jak wszystkich szyków warszawskich.

Moje fotografie bądź łaskaw odebrać z domu i przysłać mi. Poproś także ode mnie o jakikolwiek scyzoryk, bo ni koniecznie potrzebny.